

KONRAD KOMORNICZAK

„TUNEL”

Stało się! Zupełnie jak we śnie, stoję i wciąż nie wierząc własnemu szczęściu nerwowym ruchem poprawiam strój. Jeszcze raz...jeszcze jeden jedyny raz. Wszystko musi wyglądać doskonale, bo ta okazja nie powtórzy się już nigdy więcej. Nie wygrywa się dwa razy w życiu całej puli na loterii, nie codziennie otrzymuje się podziękowanie za ciężką, mozolną pracę, nie spotyka się wreszcie dwukrotnie prawdziwej miłości. A ta nagroda, pochwała i miłość są tutaj, parę kroków przede mną, czają się wszystkie razem w każdym płatku śniegu skrzącym się w świetle wyjścia tunelu stadionu Koševo. Wiem, że już tylko chwila dzieli mnie od nich. Czekam cierpliwie. Wytrzymałem trwające blisko godzinę ostatnie pięć minut, wytrzymam i teraz. Dziesięć...odliczam w głowie czas pozostały do magicznego zaklęcia spikera. Tylko tyle pozostało, by 17-letni Alija, skoczek narciarski, a przede wszystkim syn krawcowej z Bijelave i ojca, którego nigdy nie znał, pokazał się swoim rodakom i całemu światu. Dziewięć...osiem...siedem – poprawiam jeszcze raz ubiór...sześć, pięć, cztery, trzy, dwa jeden...Jugosławia! – rozlega się z głośników donośny krzyk, by od razu utonąć w aplauzie publiczności. Ruszyliśmy wszyscy za Bojanem, który niósł flagę. Mój serdeczny przyjaciel, biathlonista - Miro, Borys, Jure, ja i reszta ekipy. Krok po kroku zbliżałem się do końca tunelu. Tunelu - poczekalni, przedsionka do szczęścia, antycznej idei pokoju i braterskiego współzawodnictwa. Wreszcie dotarłem do końca, minąłem wiszący nad wyjściem napis Sarajevo'84 i Vučka, maskotkę igrzysk, który dla otuchy przyjacielsko poklepał mnie po plecach. Nie pomogło. Połączony okrzyk sześćdziesięciu tysięcy gardeł uderzył mnie prosto w twarz, pozbawił panowania nad ciałem i przez uszy wdarł się do czaszki, by w niej odbijać się porażającym echem. To jeden z tych dziwnych momentów, w których człowiek otoczony tysiącami ludzi, błyskami fleszy, głosami zewsząd jest absolutnie sam. Sam odczuwa dreszcze na całym ciele, sam walczy ze łzą w oku i bezsilnie stara się opanować emocje. Do końca życia zapamiętam ten dzień, chłód na ciele oraz ciepło w duszy, tysiące czerwonych od oklasków rąk i jedno jedyne spojrzenie mojego brata dumnie machającego niebiesko-biało-czerwoną chorągiewką.

Oto ja, Alija Letjević – Bośniak, stałem się częścią snu, który dany było nam wszystkim: Chorwatom, Słoweńcom, Serbom, Bośniakom, Czarnogórcem, Macedończykom przeżyć w naszym wspólnym kraju. Biednym kraju, bogatych ludzi. Moje nazwisko nie znalazło się choćby wśród trzydziestu najlepszych skoczków narciarskich, ale nie o to przecież chodziło. Przez tych kilkanaście chłodnych dni lutego na nasz mały skrawek ziemi patrzył cały świat, patrzył na Jugosławię, Bośnię i na mnie samego, kiedy leciałem w powietrzu przez jedną, może dwie sekundy...co najmniej o jedną za mało by zdobyć medal. Na czas olimpiady moje rodzinne miasto stało się prawdziwą europejską stolicą. Świat ustawił je w jednym rzędzie z Oslo, Paryżem, Rzymem, czy Londynem i nie przeszkadzał mu już brak demokracji ani nawet komunizm. Loza¹, burek², kolo³, Split, Belgrad, Mostar, nawet najmniejszy na świecie Hum⁴ i my z naszymi słowiańskimi rysami twarzy, wylewną gościnnością, nazwiskami nie do wymówienia dla zagranicznych komentatorów wkroczyliśmy na salony.

Podobnie jak wszystkie inne, tak i ten sen posiadał niestety tę nieznośną właściwość, iż się skończył. Z Miasta wyjechali sportowcy, pozostawiając po sobie pustą wioskę olimpijską, a wraz z nimi zniknęły kamery, dziennikarze oraz pamięć o pięknej Bośni i sphywającym leniwie po zboczach gór Sarajewie. Jak bardzo bałkańska rzeczywistość odbiegała od idyllicznej wizji igrzysk mieliśmy przekonać się w perspektywie kilku najbliższych lat.

Już od śmierci Tito we wszystkich częściach Jugosławii zaczęły budzić się z uspienia radykalne głosy separatystów. Na buforze, jakim była Jugosławia dzieląca systemy między wschodnie i zachodnie swym komunizmem o ludzkim obliczu, zaczęły pojawiać się spekania

¹ Loza - właściwie lozovača – rodzaj rakiji, miejscowej wódki, wytwarzany z winogron.

² Burek - regionalny specjał bośniacki z nadziewanego mięsem, podobnego do francuskiego ciasta.

³ Kolo - taniec wywodzący się z Dalmacji. Popularny na całym Półwyspie Bałkańskim.

⁴ Hum - miasto na Istrii (obecnie Chorwacja) – liczy zaledwie 23 mieszkańców.

i rysy. Pod bałkański kocioł ktoś właśnie podkładał ogień, a my zamiast go gasić postanowiliśmy się przy nim ogrzać...każdy przy swoim, rozgrzebując przy tym zadawnione waśni. Olimpiada zatem okazała się być ostatnim sukcesem Jugosławii. Naszym wspólnym sukcesem. Przyszłość nie jawiła się optymistycznie i to nie tylko przez wzgląd na kontuzję kolana, której nabawiłem się w 1985 roku, i która to wykluczyła mnie z dalszego uprawiania sportu.

Skoki dłuższe niż ten pamiętny na Igmanie musiały pozostać na zawsze już tylko marzeniem lub schować się w kącie piwnicy tuż za nartami. Pozostało mi tylko ciężko pracować, by utrzymać matkę i brata. Jako, że kwalifikacje zawodowe skoczka narciarskiego nie upoważniały mnie do przebierania w ofertach toteż kolejne godziny, dni, a później już lata młodości upływały mi w piekarni znajomego matki - Serba, niejakiego Tadgevića.

Człowiek wstający o czwartej rano i pracujący nierzadko do godzin nocnych, którego jedyną rozrywką są przerwy na papierosa i długie rozmowy z klientami o życiu i o niczym wraca do domu tylko z tą jedną myślą – położyć się spać, po uprzednim oczywiście oczyszczeniu się z mąki. Tak właśnie było ze mną. Alija Letjević – piekarz, czyż to nie brzmi dumnie? Prywatne ambicje schowałem do kieszeni widząc jak rośnie mój brat i jak z faktu tego cieszy się matka. Mogłem też widzieć ciemniejące i każdego dnia chudnące własne odbicie w lustrze...mogłem, ale nie widziałem. Podobnie odrzuciłem wpajany mi przez lata jako sportowcowi pogląd o niepaleniu. Dostrzegłem wtedy rzecz absolutnie niezwykłą. Bośnia i Sarajewo w szczególności, to najpiękniejsze miejsce na świecie do palenia. Gdziekolwiek nie otworzy się paczki jasnym jest, iż to właściwe miejsce dla tej odrobiny relaksu, wytchnienia i zadumy. Z czasem doszedłem do frapującego wniosku, iż będąca niemal stałym gościem na Igmanie, Bijelašnicy, czy Jahorinie⁵ zalegająca, leniwa mgła jest po prostu tytoniowym oddechem miasta. Nie musiało to być i pewnie nie było prawdą, ale miało w sobie coś z romantycznej legendy...podało mi się.

Nigdy nie pali się samemu. W pracy się pracuje, a przy papierosie myśli. Słowa natomiast są emanacją ludzkich myśli i jako takie sprawiają, iż czas na papierosa jest zawsze czasem rozmowy, wymiany myśli, poglądów, czy nawet kłótni. Tej niezwykle cennej umiejętności uczyć się nie musiałem. Piłem ją chyba od małego z mlekiem matki. Długie konwersacje stanowiły dla mnie jedyne okno na sprawy kraju i świata, kwestie na które sam w domu nie miałem już ani siły, ani chęci. A naprawdę było czego słuchać i o czym dyskutować. Nasz kraj konał. Powoli, acz konsekwentnie jak kamień drążony przez wodę rozpadał się. Nikt co prawda nie mówił o tej agonii otwarcie, ale czuło się zupełnie inną niż dawniej, gęstniejącą atmosferę.

Początkiem końca miał okazać się dzień 25 czerwca 1991 roku. Pamiętam zupełnie jakby to było dziś, że wtedy po raz pierwszy usłyszałem słowo wojna. Kojarzę nawet usta, z których ono padło i dokładne tego okoliczności. Stałem w południe sam za ladą sklepu, kiedy niespodziewanie przez otwarte drzwi wbiegł pulchny, łysiejący mężczyzna w rozpiętej pod szyją koszuli. Powiedzieć, iż jego twarz była czerwona, byłoby rażącą nieścisłością. Ona wręcz emanowała gorącem, kto wie czy nie większym niż dokuczliwie piekące tego dnia słońce.

- Jest Mitar? – rzucił szybko przybysz ocierając obficie występujący na czoło pot.
- W czym mogę pomóc? – zapytałem wyraźnie znudzony, nie dzielając zauważalnego zapału mężczyzny.
- Powiedziałem ci przecież, więc idź po szefa i jeśli nie chcesz mówić nic głupiego to najlepiej nie mów już nic.

Ruszyłem więc na zaplecze i spotkałem szefa, a jakże, na papierosie. Znał widocznie dobrze mężczyznę, bo nie musiałem opisywać długo, by zrozumiał o kogo chodzi. Pospiesznie rzucił końcówkę papierosa na chodnik, przydeptując go wprawnym ruchem nogi.

⁵ Igman, Bijelašnica, Jahorina – góry otaczające Sarajewo.

- Witaj Sreto!
- Witaj – odpowiedział grubas i pospiesznie zaczął kleić dalszą, nieco chaotyczną wypowiedź. Czytałeś? – pytał. Zdrajcy. Cholerni ustasze⁶, cały czas karmili się naszym kosztem a teraz jak już się dorobili chcą mieć własne państwo. Takiego wyhodowaliśmy pasożyta na własnym ciele! Słoweńcy to samo. Chociaż po nich można się tego było zawsze spodziewać. I mówię ci – ciągnął dalej coraz bardziej wzburzony. Nie minie rok, a Muzułmanie im pozazdroszczą!
- O czym ty mówisz?
- Jak to o czym? Wojna kolego! Wojna!

Sreto nie mówił o jakiejś wojnie, czułem to. Nie mówił o wojnie, czy wojnie ale o prawdziwej autentycznej wojnie, w pełni znaczenia tego słowa, gdzie „o” jest wylotem lufy czołgu i niesie ze sobą ofiary, a „a” tłucze się brzękiem amunicji.

- Jaka wojna? Bredzisz Sreto, napij się lepiej wody, bo widzę, że i ciebie upał dziś nie oszczędził.
- Wodę możesz dać, ale gorąco to dopiero będzie. Ja ci dobrze radzę jako przyjaciel i jako rodak. Uciekaj z Sarajewa teraz póki jeszcze można, bo jak przyjdzie co do czego to cię te psy niewierne rozszarpia – tu przerwał, by spojrzeć z ukosa na mnie.

Rzuciłbym się do gardła już teraz, to fakt. Jednakże nie Tadjewiciowi, a jemu. Nie wiem dlaczego tego nie zrobiłem. Może przez wzgląd na szacunek jakim mimo wszystko darzyłem swoją pracę. Gdybym był jednak to zrobił usprawiedliwiłby mnie każdy sąd.

- Jesteś pewien? Nie przesadzasz aby z tą wojną?
- Absolutnie!
- A jebem ti majku!

Tego dnia Tadjewić wyszedł wcześniej zamykając piekarnię i dając mi wolne popołudnie.

Rzeczywiście rozpoczęła się wojna. Mój szef, choć nie był przecież złym człowiekiem, czego byłem całkowicie pewien, i zawsze traktował mnie niemal jak przyjaciela, wyjechał z Sarajewa już pod koniec sierpnia, wpisując się w ogólną panikę wybuchłą wśród bośniackich Serbów. Wiele lat później słyszałem, że założył piekarnię w Belgradzie i wkrótce potem zmarł. Nie od bośniackiej broni, a na raka płuc. Według mnie, i tego też jestem prawie pewien, zabiło go ciężkie, zatęchłe serbskie powietrze.

To całe zamieszanie napawało lękiem, bardziej jednak moją matkę niż mnie. Wojna była wszechobecna. Przewalała się przez wszystkie strony wszystkich gazet, kradła minuty w głównych wydaniach telewizyjnych wiadomości, podobno nawet tych zagranicznych. Kradła nawet mój ukochany czas na papierosa i rozmowę. Wszystkie inne tematy bowiem całkowicie przestały istnieć. Zupełnie jakby ludzie nie kłócili się już ze swoimi żonami, nie kupowali ryb na targu, nie pili zeszłego wieczoru rakiji i co najgorsze, przestali dostrzegać na ulicach piękno naszych kobiet. Pogodziłbym się nawet z tym, gdyby nie fakt, że ja tej wojny nie widziałem. Stanowiła dla mnie totalną abstrakcję oddaloną o setki kilometrów, których nie miałem najmniejszego zamiaru przemierzać. Nie podejrzewałem, że to co tak bardzo lekceważyłem zlekceważy i mnie i małymi, ale konsekwentnymi krokami zmniejszy dzielący nas dystans. Każdego dnia w takt butów zmierzających do mnie i mojego miasta serbskich żołnierzy padały kolejne wsie i miasteczka. Byli tacy, co ten rytmiczny krok słyszeli z daleka jak echo niesione przez góry. Ja pozostawałem na niego głuchy.

Dopiero pod koniec marca '92 wszystko było już jasne. Nawet najbardziej głusi i sceptyczni jak ja mieszkańcy Sarajewa stanęli przed faktem dokonany. Pętla wojsk zaciskała się coraz ciasniej wokół miasta tak, iż w końcu znaleźliśmy się w potrzasku. Jednak i to nie było dla nas sytuacją nową. „Przeżyliśmy Turków, Niemców, I-szą i II-gą wojnę światową, przeżyjemy i naszych!” – myśleliśmy. Nie istnieją zresztą chyba, i nie ma w tym

⁶ Ustasze – właściwie Ustaši, członkowie faszystowskiej partii chorwackiej, potocznie: obraźliwe określenie Chorwatów.

nic z megalomanii, narody bardziej zahartowane przez historię niż słowiańskie. W dziejach nas wszystkich: Polaków, Rosjan, Bośniaków, Czarnogórców, czy nawet Serbów, tych samych którzy właśnie nas otoczyli, przewija się swoiste fatum. Zawsze cierpimy, jesteśmy atakowani, oblężeni, ostrzeliwani. Jedyne co mogło nas pocieszać to fakt, iż niejeden już, z samym „wielkim” Napoleonem Bonaparte na czele, wyszczerbił sobie na nas, Słowianach zęby. Nie wiem natomiast jak prawidłowość tę zastosować do dwóch walczących ze sobą równie zapalczywie krajów. Pewnym było jedynie, iż ani Serbowie nie odejdą, ani Sarajewo nie podda się zbyt szybko.

Spektakl rozpoczął się w ciepłą noc z 4-tego na 5-tego kwietnia kiedy to czyste wiosenne niebo rozświetliły serbskie rakiety lecące zewsząd na podobieństwo spadających gwiazd. Wtedy jeszcze nie wpadliśmy na to, by do każdej, tak jak czynią to małe dzieci, wymyślać życzenie. Nauczyliśmy się je wypowiadać, gdy z czasem było ich więcej i więcej. Właściwie to znaleźliśmy na pamięć i wciąż powtarzaliśmy jak modlitwę te same słowa skryci w kącie piwnicy naszego domu.

Kryliśmy się w naszym własnym mieście, podczas gdy gdzieś tam w górach siedzieli ludzie tacy jak my, nierzadko nasi sąsiedzi, być może nawet moi przyjaciele z olimpijskiej reprezentacji. Mierzyli do nas z obcą sobie na co dzień nienawiścią i zapalem w oczach, wrogością zaszczerpioną w nich przez polityków o równie przyjaznych i uśmiechniętych twarzach, co bezwzględnych sercach.

Niestety już w pierwszych dniach oblężenia miało okazać się jak bardzo myliłem się ignorując zagrożenie. Niemal w samo południe wyszedłem razem z bratem z domu zabezpieczyć na następnych kilka dni rzeczy absolutnie najpotrzebniejsze do przeżycia: ziemniaki, papierosy, mięso. W tych niebezpiecznych czasach nie wypadało nam nawet angażować do takich zajęć lekko już schorowanej matki. Nie ukrywam też, że poniekąd sprawiało nam ogromną frajdę to bieganie po mieście na adrenalinowym rauszu. Organizowaliśmy coś w rodzaju zawodów, które ja jako starszy i już nieco mniej zwinny zazwyczaj przegrywałem, co stanowiło wielką zadrę na tej części mojego ego, która tkwiła jeszcze w latach sportowej kariery. Zazwyczaj jednak śmiech kończący zabawę pozwalał mi zapomnieć o porażce i tym bardziej docenić zdrowie oraz sprawność Denisa, który gdyby nie wojna pewnie zostałby jak ja skoczkiem. Może nawet kiedyś, gdzieś na drugim końcu świata, przeskoczyłby te parę metrów, których mi niegdyś zabrakło. Może...gdyby nie ten właśnie dzień.

Wracaliśmy już wydawszy wszystkie pieniądze, a trzeba wiedzieć, że niebysyałym zbiegiem okoliczności w otoczonej mieście ceny rosły wprost proporcjonalnie do długości czasu oblężenia. Towaru nie mieliśmy więc dużo. Mimo to nie spieszyliśmy się zbyt. Grzechem byłoby bowiem siedzieć w domu tego pięknego popołudnia. Nagle nasz idylliczny spacer przerwały wydarzenia, które natychmiast przestałem kontrolować. Padł pierwszy strzał, a po nim następne. Blisko nas. Słyszałem to. Odrzuciłem torbę i schwyciwszy brata pod ramię zacząłem uciekać. Skryliśmy się za rogiem budynku, jednak strzały nie ustawały. Budynek tuż obok nas zatrzęsł się rażony granatem. To nie były już żarty. Musieliśmy uciekać.

- Na trzy! Raz!...dwa!....

Wybiegliśmy. Ja pierwszy, Denis zaraz za mną. Nie pamiętam jak szybko biegłem, pewnym jest natomiast, że tym razem szybciej niż on. Tupot nóg i jego szybki oddech czułem na plecach coraz słabiej. I wtedy stało się. Wśród serii strzałów z karabinów usłyszałem jeden o bardzo charakterystycznym, świszczącym dźwięku. Wszystko ucichło, głos kroków za mną także. Zatrzymałem się, ale nie miałem ochoty się odwracać. Bałem się tego, co w tej właśnie chwili dotarło do mojego mózgu, a czego absolutnie nie chciałem wiedzieć. Mój brat leżał konający na sarajewskim bruku, a ja odwrócony do niego plecami płakałem. Nie wiem jak długo tak stałem, ale dowiedziałem się jak wiele obrazów, wspomnień i myśli potrafi

pomieścić w sobie jedna sekunda. Odwróciłem się w końcu i podszedłem do niego. Przyklęknałem, bez słowa uniosłem bezwładne już ciało.

Snajper trafił prosto w klatkę piersiową. Miro, bo to on strzelał, jak na biathlonistę przystało, zawsze miał celne oko i potrafił wstrzymać oddech oraz drżenie rąk na tyle, by trafić w upatrzony punkt. Nieraz mu powtarzałem, że jeśli tylko będzie biegał choć w połowie tak dobrze jak strzela to zrobi wielką, światową karierę. Widać nie posłuchał mnie i wołał wstąpić do wojska. W tej jednak chwili nie wiedziałem, że to mój serdeczny przyjaciel właśnie odebrał najbliższą mi osobę. Przypuszczam, że jemu także nie przyszło do głowy, iż te dwie biegające bezradnie istoty to właśnie my. Miał swój cel i trafił w niego. Jak zwykle nieomylny Miro.

Skamieniały i pobladły, wciąż wpatrywałem się w wspartą na moim kolanie głowę i nieruchome powieki Denisa. Nie spostrzegłem nawet, gdy wokół mnie zebrał się tłum rozpaczących ludzi. Nie słyszałem ich. Zupełnie jak spod ziemi pojawili się także dziennikarze: biali, czarni, brązowi, wszyscy z dumną plakieta „PRESS” na piersi, próbując uchwycić na kliszy tę najczarniejszą chwilę mojego życia, by później za parę dolarów sprzedać ją światu. By ktoś z zaciekawieniem mógł odstawić na nas kubek z kawą i stwierdzić: „Bośnia? Ci ginący chłopcy i ich płaczące matki...czy to aby źle nie wpłynie na kurs moich akcji? Aha, nie ma tam ropy. Niech więc walczą!” Krzyki, płacz, szlochanie, odgłos aparatów, a ja znów byłem sam. Sam z natłokiem myśli i rozrywającym duszę cierpieniem.

Od tego czasu wszystko się zmieniło. Nie było już tamtej Jugosławii, nie było tamtej Bośni, nie było też tamtego Aliji, a świat ponownie patrzył. Wzrok wszystkich kolejny raz kierował się na Bałkany. Korespondenci, skryci bezpiecznie w hotelu Holiday Inn każdego dnia kręcili nowe filmy, na których płonęły okoliczne budynki. Serbowie urządzili sobie zupełnie nowe igrzyska. Każdego dnia z mozołem śrubowali własne wyniki i ustanawiali rekordy w ilości wystrzelwanej w naszą stronę amunicji. Maksimum formy osiągnęli 22 lipca 1993 roku. Czy urządzili z tego powodu uroczystą fetę, nie wiem. Z piwnicy nie widziałem tego ani ja, ani moja matka. Sarajewo jednak, w przeciwieństwie do mnie, nie traciło nadziei.

Jak już wspominałem niełatwo sprawić, by Bośniak padł przed kimkolwiek na kolana. Zdarzyć się to może chyba tylko po alkoholu, choć i wtedy o to niełatwo. Wyczuwający nadciągające niebezpieczeństwo mieszkańcy już 27 marca '92 roku zorganizowali sami dla siebie pomoc. Dzięki żmudnej pracy górników przekopali tunel pod jedynym neutralnym ogniwem pierścienia wojsk, a więc lotniskiem, gdzie stacjonowały międzynarodowe siły Narodów Zjednoczonych. Liczący 720 metrów, prowadzący w wolne rejony górskie tunel stał się natychmiast oddechem dla miasta. Zaopatrywał je w broń, leki, jedzenie.

O tunelu dowiedziałem się już w trakcie kopania, ale naprawdę uwierzyłem w jego istnienie dopiero w lipcu, gdy matka przyniosła pierwsze z niego paczki.

- Popatrz tylko, może wreszcie los się odwróci – mówiła spoglądając mi prosto w oczy, jakby w nich szukała potwierdzenia słów, którym sama ledwie dowierzała.
- Zginiemy tu wszyscy!
- Co ty wygadujesz? Rozmawiałam z ludźmi. Tunelem można uciec. Ja już jestem za stara, ale ty masz przed sobą całe życie.
- Bardzo cię proszę, skończmy tę rozmowę – odpowiedziałem dość oschle za co później sam nieświadomie skarciłem się wyrzutami sumienia. Nie powinienem był tak rozmawiać. Nie z nią – ostatnią przychylną mi osobą w świecie, który konsekwentnie coraz bardziej nienawidziłem. Traciłem jakąkolwiek chęć do życia.

Jednak myśl o ucieczce przemknęła mi przez głowę. Sarajewo, które kochałem, moje Sarajewo już nie istniało. Na Koševo spadały bomby. Po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie trzymało mnie tu oprócz matki i oczywiście do niedawna Serbów już nic. Byłem jednak zbyt sfrustrowany i pogodzony z losem, by cokolwiek przedsięwziąć. Ona

uczyniła to za mnie. Przyszła pewnego wieczoru i powiedziała, że mam się pakować. Co niby miałem pakować?

Następnego dnia po południu stałem już na początku ciemnego, niskiego tunelu, ślepo wpatrując się w niedaleki jasny punkt - światło wolności. Wziąłem ze sobą tylko plecak z jedzeniem. Matka wykosztowała się strasznie, by wysłać swojego jedynego już syna w daleki świat.

– Jestem ci to winna za to, że pracowałeś na nas wszystkich przez tyle lat. Pozwól teraz mi zrobić coś dla Ciebie – mówiła. Nie była mi winna absolutnie nic...

To nie jedzenie było jednak aż tak ważne. Pomiedzy nim w plecaku skryła się ostatnia rzecz, która niezmieniona przypominała mi o miejscu, które było całym moim życiem – sarajewskie powietrze. Odwróciłem głowę ostatni raz, by spojrzeć na tak piękne niegdyś, a umęczone dziś miasto i ruszyłem przygarbiony w stronę światła. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...wreszcie trzy, dwa, jeden...tym razem nie było żadnych oklasków i powiewających chorągiewek. Nie wiem nawet w jakim miałyby być kolorze.

Siedzę właśnie zupełnie samotny w moim nowojorskim mieszkaniu. To miasto nie lubi obcych, a już szczególnie takich jak ja przybyłych z krainy tysiąca i jednej nocy, ospałych, nieprzebojowych introwertyków. Nie wychodzę rano z psem i nie mówię sąsiadom „Hello, how are you?”. Nie odpowiadam „Ok. fine!” z przyklejonym uśmiechem na twarzy, nie biegam rano. Dzień zaczynam od papierosa gorszego w smaku niż tamte, które jeszcze pamiętam, choć zapakowanego w zdobniejszą paczkę. Jest rok 2006. Mam 39 lat, wojna w Bośni już dawno się skończyła, a ja żyję w wielkim mieście, w wielkim demokratycznym kraju. Powinienem być szczęśliwy. Nie jestem! Każdego dnia od momentu opuszczenia Sarajewa przeżywam podwójne męki – moje własne i odbierane chyba telepatycznie, matki. Nie wiem dla kogo piszę te wspomnienia. Pewnie najbardziej dla samego siebie, by przez ich utrwalenie choć na chwilę przywołać dawne, utracone na zawsze lata, by w głowie przemierzyć jeszcze raz tunel, tym razem w drugą stronę.

W Nowym Jorku jestem jak roślina na pustyni. Moją wodę niosła, wciąż niesie i nieść będzie z nurtem Miljacka⁷ przez, bez względu na to czy nazywane Sarajevo, czy Capajevo⁸, to jednak na zawsze moje miasto.

Alija Letjević

⁷ Miljacka - rzeka płynąca przez Sarajewo.

⁸ Capajevo – Sarajewo pisane cyrylicą to oznaczenie serbskiej części miasta, podczas gdy pisane łacinką jest nazwą części muzułmańsko-chorwackiej.